

Od autora: Książka zapowiada się na opasłą powieść, bo wbrew pogłoskom i niektórym opiniom, nie da się iztoty rzeczy zapisać w zdaniach pojedynczych nieskomplikowanych w treści.

Ostrzeżenie! nie przyjmuję reklamacji z uwagi na trudność czytania, i z uwagi na tekst na którym trzeba się skupić, albo że akcji nie ma. miłośników łatwej akcji odsyłam do Harlana Cobena :)

Zaznaczyłam, że może treść może zawierać fragmenty da dorosłych, choć akurat w tym fragmencie nie ma nic zdrożnego, przynajmniej według mnie :)

O czym jest książka, znajdziecie w opisie rozdziału pierwszego!

Rozdział II

ad futuram rei memoriam [1]

Gdyby Jerzy Pilch, (przewrotnie nazywany przeze mnie JP bez dwójki,) doczekał Strajku Kobiet, z pewnością uganiał by się w piątek, anno domini w cyfrze 30 listopada dwóch dwudziestek; uganiałby się za żółtą zjawą posłanki Jachiry, pojawiającej się niczym syrenka warszawska z mieczem immunitarnym w dłoni, przeciw oddziałom policji, zamorowanym oddziałom żandarmerii, knajackim hordom kiboli w służbie matki kościoła Maryi i wszelkiej maści chłopczykom, krzyczącym podczas zatrzymania:

– Panowie, ale ja jestem z Wami!

Klaudia, niosąca pomoc kobietom strajkującym na barykadach, na swoim motocyklicznym elektrycznym rumaku zapanowałaby nad wszystkimi zmysłami JP, do tego stopnia, że opuściłby swój ulubiony mini market, swoje mieszkanie, klatkę schodową, swoją ulicę, dzielnicę i odrzuciłby wizję pokojowego, domowego wypicia flaszki, małpki, setki, byle tylko dojść ją i złapać. Opuściłby strzelanie z wiatrówki do kart, pozostawiając niepocieszone, ułożone w stosik walety, króle i damy, puste paczki fajek i opróżnione szkło. Zataczał by wokół efemerycznej żółtej pochodni coraz mniejsze kręgi, przybliżał się, namierzał; wyglądał zza węglów, głów i wszelkiej maści transparentów „jebać PiS” i „wypierdalaj”. Niesiony energią tłumu nabierałby coraz większej odwagi do osaczania i zawładnięcia.

Ścigałby, być może, by zastrzelić, jak w „Najpiękniejszej kobiecie świata”; być może by tylko dogonić i wgapić się ostentacyjnie, ufając, że Klaudia nie oprze się wgapieniu, rozpozna go i potem już samo się rozwiąże; być może jednak w celu rzucenia się na nią w rozpacz, jedynie po to, by wchłonąć jeden z oddechów wydobywających się nieustannie z młodych, jędrnych piersi.

Do kobiet trzeba bowiem strzelać, amunicją zgoła nagą, zgoła subtelną, zgoła przejętą, zwłaszcza kiedy piszą: „dzień dobry”, - a potem milczą dzień cały! I jakie to „dzień dobry”, kiedy czeka się na kontynuację, z przejęciem i w napięciu pięttrzącym godzinę na godzinie; z wytrzeszczem oczu, czułym na każdy błysk wyrzucany z otworu w rogu telefonu; czeka, jak na wygraną w lotto; lub też uchem, powodzi się, jak radarem nastrojonym na odbiór ściszonego dzwonka, wszystko, żeby wylapać dyskretnie, wylapać z godnością, powziąć informację i wcale nie dać po sobie poznać, że: masz wiadomość! absolutnie! - tak dyskretnie, żeby nikt nie wiedział, że jesteś latawica i biegasz do tego telefonu, jak na polowaniu pokemonów; lub też w trybie wyciszenia z kieszeni go wyjmować i chować, wyjmować i chować, wyjmować i chować, aż przytrze się całkowicie - ta kieszeń, (a byłaby to pierwsza przetarta kieszeń w światowej

historii jeansów).

Zatem strzela się do kobiet, z amunicji ślepej, strzela się w obronie i ataku, bo takich rzeczy się nie daruje! Stąd JP nie darowałby posłance tego pędu, tej energii, tego wigoru, i niedopiętych pół żółtego płaszcza, zapraszających do wejścia, dotknięcia i smakowania w nieskończoność, tylko dla samego smakowania.

Wycieczki po skórze nie mogą się odbywać, jak kompulsywne zjadanie tabliczki czekolady, skóra tak się nie rozplywa, nie w takim tempie i w przeciwieństwie do czekolady, ustawicznie zostaje nam jej więcej i więcej na później.

Pierwszy dotyk zawsze się wgryza w opuszki i zostaje tam do zarania, zostaje na obrysie warg, zakończeniach nerwowych od ce-jeden do ce-siedem, na małżowinach usznych, zarysie żuchwy (wszystkie maniaczki kości żuchwy wiedzą doskonale czym jest ten wysublimowany i opanowany do perfekcji gest musnięcia policzków, zakończony uniesieniem podbródka); staje się niepoliczalny, przecuty i w niedosycie, w paradoksie.

Abakus witał nas chłodem stromych schodów zapadających się w głębię. Panował tu przyjemny półmrok. Kilku metalowców siedziało przy barze i żywo rozprawiało o wyższości gitary Stratocaster nad gitarą Les Paul od Gibsona - tyle był w stanie zapamiętać gitarowy laik, bo wszystkie inne słowa sprawiały, że słyszało się zbitki dźwięków, potęgujący wrażenie, że chłopaki mówią szyfrem. Mój mózg przypomniał mi, że wieki nie widziałam żadnego metalowca, co oznaczało, że musiałam się strasznie zestarzeć. Zignorowałam tę jakże niekurtuazyjną odpowiedź wysłaną przez złośliwe neurony.

Kolejną myśl, że mam obok siebie zjawisko cielesne zgoła młodsze, (które świdruje mnie wzrokiem, powodując fale turbulencji skórnych), odrzuciłam; odrzuciłam, przydeptałam i przycisnęłam stojącym obok mnie hokerem. Kto by się tam przejmował, ba, kto śmiałyby się wtrącić z trzygroszem i powiedzieć, że mu lata się nie zgrywają. Nie musiały! Przyciągało nas coś, co umykało zwykłemu pojmowaniu, coś, co rozchodziło się po ciele przyjemnym jednostajnym ciepłem. I nie było istotne, czy wiedzie nas na rajską, kwiecistą łąkę, czy na pustynne manowce. Ważna była chwila i odczuwanie. Miałyśmy to dla siebie; to czego wszyscy tak gorączkowo po świecie szukają; to, co usiłują wyjaśnić w książkach, co trenerzy mentalni wtłaczają do głowy zestresowanym szczurom korpo; czego tak wszyscy pragną: Tu i teraz!

Zamówiliśmy po piwie i gdy tylko barman mruknął, że przyniesie, Jafrodyta złapała mnie dyskretnie za rękaw kurtki i pociągnęła w dół po kolejnych schodach, do następnego pomieszczenia, w kąt, za masywny, ciężki, drewniany stół z dala od wścibskich spojrzeń.

Od chwili, kiedy stanęłyśmy naprzeciw siebie pod pręgierzem, gdzie oddałyśmy swoje losy w ręce złodziejaska, gotowego w każdej chwili zeskoczyć z kolumny i uciec z łupem przewieszonym przez plecy, przyglądała mi się z uwagą, przekręcając głowę we wszelkie prawe i lewe przechyły. Jej zielone oczy zmieniały barwę, raz sprawiając wrażenie, że sięga się ciemnej otchłani, raz promieniejąc radośnie i pożądliwie, dając do zrozumienia: jeszcze tylko chwilę, niech kelner przyniesie to cholerne piwo, i potem zdarzy się wszystko, zdarzy się całkowicie tak, jak się w ciemnościach zdarzać powinno, zderzać powinno, łączyć powinno, scalać konieczność z ponagleniem. Pozostawało mi jedynie nieodwracanie wzroku i przełykanie śliny.

Powiedzieć, że było to jedno z moich najdłuższych i najbardziej złożonych oczekiwań w życiu, to nic nie powiedzieć, a i potem, krok kolejny oczekiwania zwilżonego piwem, wcale nie stał się krótszy, wcale pewniejszy siebie, z drzeniem rąk, onieśmielonych, zmrożonych strachem, aż do pierwszej gęsiej skórki, wyżej i wyżej nadgarstków; do włosków zastanych na baczność i rozedrganych kolan. Na szczęście zawsze wiem, gdzie położyć dłonie, kiedy ciała jamiste wypełnia na przemian zimna i gorąca fala, w samą porę, bo jej usta, zostawiając najpierw ślad na moich wargach przeniosły się właśnie teraz na kark.

Zęby wbiły się bez ostrzeżenia, mocno, głęboko. Choć jej dłoń zakryła mi usta, wydałam z siebie jedynie krótki syk, a potem pochłonęła mnie ciemność. Byłam bliska omdlenia. Sklepienie zdawało się zamykać nade mną i dusić. I byłoby mnie pochłonęło, - piekło wynurzające się już z kamiennej posadzki, - gdyby ucisk nie zelżał i jej zęby nie zniknęły w obrysie nabrzmiąłych ust, pozostawiając na karku bolesny ślad, niczym ekslibris, a usta nie wróciły tam, gdzie zaczęły, na moje wargi. Nie wiem, jak wytrzymała ściśnięte klamry moich dłoni na swoich udach; nie wydała z siebie najmniejszej skargi, poza nic nie wyjaśniającym i intrygującym:

– Hmm...

Otworzyłam oczy. Nasze czoła się stykały. Uśmiechała się. Musiałam zdać jakiś egzamin, przejść próbę, być naznaczoną; cokolwiek to miało znaczyć, przeszłam ją pozytywnie, bo bez słowa przytuliła się, położyła głowę na moim ramieniu i głośno westchnęła. Nasze cielesności się mieszały, wypełniało mnie kojące ciepło, pozbawione wszelkich oznak niepokoju. Przytuliłam ją mocno i nie napotkałam oporu.

Na mgnienie zawładnęły mną pytania:

– Co się tutaj właściwie stało? Jeśli się tak zaczyna, co będzie potem? Czy to tylko gorący temperament, który nie mogąc inaczej znaleźć ujścia, wgryza się ciała kochanek? Jak wyglądają ciała kochanek? Kim ona jest, jeśli nie jest już niewinnym kurczakiem przed maturą?

Przełknęłam ślinę. Co mnie to teraz właściwie obchodzi, kiedy siedzi we mnie wtulona, jakbyśmy obie przywykły do jej gier, jakbyśmy obie je uwielbiały! Ślad na karku palił żywym ogniem, ale spokojny, jednostajny oddech Jafrodyty sprawił, że bezwiednie zaczęłam się weń wsłuchiwać i powoli oswajałam się z bólem. W głośnikach nieśmiało zabrzmiały pierwsze takty „Cała w trawie” Dżemu. Miałyśmy jeszcze dziś dla siebie dwie godziny, dwie pełne godziny wieczności...

Przyszło mi do głowy, że właśnie przed chwilą oddałam część swojej wolności, wolności i dumy, za ślad jej zębów na karku, za oddech, tak po prostu; oddałam dobrowolnie, niepytana, jakbym czekała na dzień w którym Jafrodyta przyjdzie i ją zabierze; napisze na pudełku, które wyjmie z torebki: – wolność Bibi (jak mnie potem zaczniesz nazywać), pudełko zamknie i odłoży z torebki na półkę w miejscu mi nieznanym; w miejscu podobnym do Cmentarzyska zapomnianych książek mrocznej i fascynującej Barcelony Zafona; że oddanie wolności było nieuchronne, że czekało na mnie od pierwszych postawionych kroków; i że już za chwilę oddam życie, jeśli tylko poprosi; i że stanę się jej światłem i cieniem, mocą, która będzie bronić jej przed światem. I że nigdy tej wolności nie odzyskam.

Nie budziło się we mnie najmniejsze ze sprzecznych uczuć; żadna truciomyśl; żadna dociekliwa wątpliwość; żadne „aha!”; wszystkie czujki w mojej głowie wygasły diody. Nie działa się nic, nic niepokojącego, a jednocześnie działa się wszystko; świat stawał się tuż obok mnie, był mną, był cieleśnie w samym epicentrum; z Jafrodytą, wtuloną we mnie, z głową wciąż złożoną na ramieniu.

Zastanawiałam się o czym myśli, schowana w objęciach jeszcze przed chwilą obcej kobiety, z którą wymieniała zaledwie kilka listów wysłanych w systemie zerojedynekowym.

Potem nauczę się, że próby nadążenia za myśłosłowem Jafrodyty, będą jak wybieganie w pełni lata na słoneczne górskie łąki Podgórza tuż przed sianokosami; łąki pełne zapachu macierzanki, falujące przestworzem kostrzew czerwonych, izgrzyc i tymotek; będą jak szukanie idealnego koloru pośród małgorzatek, nakrapianych goździków, czarcikęsków i wszelkiego innego kwiecia.

Będą, jak przekręcanie kalejdoskopu i budzenie się pośród hałd piasku kopalni odkrywkowej na Pilcach; pragnienie idealnego ziarenka; szukanie go wśród tych wszystkich drobin uciekających z taśmociągu; puszczenie się za nim w pogoń aż na brzeg stawu o lazurowej, czystej wodzie i wraz z nim zatapianie w odmętach.

Jak słuchanie topielicy, śpiewającej mrozącą krew w żyłach opowieść o kakofonii i zanikaniu, pośród pni oblanых żywicą, we mgle opalizujących ognikami torfowisk;

Zdarzy się jednak, że rzeczywistość w absolicie oprze się zrozumieniu. Jafrodyta, jak złękniony zając, wczepi się w moje ramiona tnąc je do krwi, rano otworzy radosne oczy, wymazując zupełnie z pamięci nocny koszmar, by tuż po śniadaniu kropla po kropli opatrzyć każdą najmniejszą ranę...

– Masz spracowane dłonie – wyrwało mnie z zadumy – silne, spracowane dłonie, a przy tym, są takie ciepłe i delikatne.

Od dobrej chwili bawiła się nimi próbując różnych akrobatycznych figur naciągając ścięgna w niemożliwe kierunki. Gimnastyka była bolesna, ale sprawiała mi przyjemność.

– I te palce...

– Co palce? – uśmiechnęłam się z przekąsem, domyślając się do czego zmierza

– Już nic! – odfuknęła roześmiana.

– A więc tchórzysz? – zamruczałam. Uszczypnęła mnie w wierzch dłoni.

– Wcale nie! – wpatrzona we mnie duże zielone oczy, grały wszelkimi iskrami, które krzeszał diabeł, stukając kopytami w brukowaną kamieniem posadzkę piwnicznej niszy; szukając tajemnego przejścia jakby do piekła, jakby do raju.

– A poza tym, chciałybyś!

– No nie wiem, nie zadaję się z tchórzami...

Tym razem uszczypnęła mnie w udo, jeszcze raz i kolejny. Cokolwiek miało oznaczać zadawanie bólu, było jak zaproszenie; jak wyjmowanie kamieni z żywego wulkanu i wkładanie ich nam obu za kołnierz; jak otwieranie drzwi do świata, gdzie dostać się było z rodzaju niemożliwych; świata bez hamulców, pełnego akordów forte, pauz i westchnień. Jednakże dziś drzwi musiały zostać zamknięte, nie było na to miejsca i czasu. Pozostało nam więc droczenie się, rozmowa o ulubionym, śnitęczach, marzeniach i o wszystkim tym, co miało dać nieskończenie wiele pretekstów do następnych spotkań.

Oddalała się krok za krokiem. Jej sylwetka przyciągała wzrok nie tylko brzuchatych facetów, ale też nafryzowanych kobiet, w maskach makijażu; kobiet zazdrosnych, gotowych stanąć w obronie swoich mężów i udusić Jafrodytę za jej niewymuszoną, stonowaną powierzchowność, która ukrywała wszystko i nie ukrywała Nietzsche'go, Sartre'a, Platona i Homera, ci jednak umykali z pola widzenia śmiertelnikom i tylko uważny obserwator był w stanie dostrzec kolorowy pochód filozofów, który zawsze jej towarzyszył; prowadził nieskończone dyskusje, karmiąc młody umysł wszystkim i nie dając w zamian nic gotowego; w opakowaniu na wynos.

Byłam ciekawa, czy Jafrodyta czuje, że jeszcze i wciąż wpatruję się w zarysy jej postaci; czy jej intuicja przebija się przez warstwę racjonalnego umysłu. Próba zaangażowanego obrotu, jak ją nazywałam, działała zawsze i była najlepszym sprawdzianem na to, czy choć odrobinę nadrukowałam się we wspomnieniach, z kimkolwiek się spotkałam.

Już prawie była za rogiem, już myślałam, że w moich słupkach i tabelkach trzeba będzie odjąć znaczną ilość punktów, kiedy zatrzymała się na ułamek sekundy, podniosła rękę składając dłoń w pięść i jednoznacznie: fuck you, jakby chciała powiedzieć: no spadaj już! A potem odwróciła głowę i pokazała mi język, po czym porwali ją przechodnie.

Wydałam z siebie potężne westchnienie, tak silne, jakbym nie oddychała od kilku minut. Odwróciłam się na pięcie. Rzadko w ostatnim czasie trafiało mi się czuć spontaniczną, młodzieńczą radość, a teraz miałam ochotę krzyczeć. Rozejrzałam się. Słabo będzie wyglądało, kiedy zacznę wyrzucać z siebie dźwięki na środku ulicy, - pomyślałam - ale wsobnie, brzusznie nikt mi nie zabroni. Wciągnął mnie popołudniowy tłum i gwar kłódzkiego rynku. Murzynek znad apteki zdawał się robić duże oczy i z przekąsem przechylać głowę, prowokując mnie do kolejnego uśmiechu. Ile widział schadzek, wie tylko on sam i rzeźbiarz, który dał mu oczy. I powieki potrzebne do ich zamykania, by przypominać sobie obrazy dopiero co zaprzeszłe, dopiero co zarejestrowane, zielone głębie, śmiech, dotyk skóry, oddech i to, co czekało za cielesnością.

Zabrzączał telefon, oznajmiając wszem i wobec: masz wiadomość!

Na ekranie wyskoczył wielki napis pulsujący jak kolorowy neon z chińskiej dzielnicy. Nie oznajmiał jednak, że tam w zaułku za zakrętem przyjmuje: Fryzjer, golarz, dentysta – tanio! - raził najprostszym, najbanalniejszym i najważniejszym pytaniem warunkującym relacje międzyplanetarne:

– Zobaczmy się jeszcze?

Oto jednak nieoczekiwanie nadszedł ten moment kiedy wszelkie emocje, tak tonowane do przed chwili, mogły wybuchnąć:

– Yes! Yes! – wyrzuciłam z siebie, wywołując uśmiech na twarzy mijającego mnie starszego pana, który ku mojemu zaskoczeniu uniósł kciuk w górę, i dostojnym głosem powiedział:

– Gratuluję!

– Dziękuję! – odpowiedziałam radośnie, wykonując piruet, niczym baletnica z Teatru Balszój.

– Zobaczmy się jeszcze? – błyszczało na ekranie, brzmiąc jak rozszyfrowana oda do wszelkich radości: wiem, że rozstałyśmy się ledwie przed chwilą, ale wygląda na to, że mam ochotę na więcej.

Ulica zafalowała. Ściany kamienic spęczały, naparły na mnie i wróciły na swoje miejsce, jeszcze wciąż sprężynując. Kostka brukowa na kamiennym moście wyskakiwała, jak korki szampanów i fajerwerki w jednym. Nepomucen uklonił się w pas mojej sylwetce przemyskającej w kierunku stalowej przeprawy przez rzekę. Serce pędziło jak oszalałe i istniało ryzyko, że mnie przegoni; że zostanę sama po środku miasta, z głową nad telefonem, z głową, która zupełnie zapomni czy i co odpisać.

Podświetliłam ekran, i sprawdziłam raz jeszcze czy doniosłe pytanie to nie był jednak sen. Nie był. Wybrałam na klawiaturze najbardziej ekstrawaganckie słowo potwierdzenia, bezosobowe, jednak bezwarunkowe i mówiące wszystko:

– Oczywiście!

– Odezwe się! – pojawiło się natychmiast w odpowiedzi.

Na stalowym moście zawsze był przeciąg. Nysa [2] porywała nie tylko taflę wody, ale kapelusze, poły płaszcza i krwiste serca, dodając pikantności do życia szarego, powiatowego miasteczka, dlatego przechodząc przez most zawsze trzymałam moje serce głęboko w wewnętrznym zagłębieniu kurtki. Chroniłam je przed gapiami, pogodą i drzazgami wetkniętymi w tylną kieszeń spodni. Zaczerwienienie się nosków butów, wołających o wiosnę, jeszcze nigdy niczego nie warunkowało. Płynącej wodzie obojętne bowiem było, co ze sobą niesie i jak daleko.

Od dobrej chwili stałam na środku żelaznego mostu opierając się o stalową poręcz; delektując się tym, co zostało za moimi plecami, co stało się zaledwie przed chwilą, godziną, poza czasem. Nie wiem czemu się zatrzymałam. Choć właściwie, nigdy wcześniej mi nie przyszło do głowy, by skupiać się na detalach otoczenia. Akurat po tej stronie słabo widać było ryby, które obserwowałam zawsze, kiedy miałam okazję przechodzić. Teraz podziwiałam most, ciężką hutniczą stal, kunszt konstruktorski i nity. Uwielbiałam je dotykać na każdym moście na jakim miałam okazję być. To w nitach, w niepozornych połączeniach ściskających bloki stali, drzemała siła, która sprawiała, że mosty żyły życiem długowiecznym. Niestety smutne otoczenie mostu, odbierało mu uroku. Nieczyszczone od lat z nanosu, zarośnięte z jednej strony koryto, pełne szczurów, niezabliźnionych śladów po powodzi, z drugiej rozsypujący się murek, śmieci na dnie rzeki. Nie było to zbyt romantyczne miejsce, niemniej wytarta stal poręczy miała zawsze zdolność otrzeźwiania gorącej głowy. Może dlatego się zatrzymałam. A być może bojąc się, że na drugim brzegu rzeki zaborcza rzeczywistość zajmie zbyt dużo miejsca.

Zaczynało mną telepać z zimna. Potrzebowałam jednak upewnić się, że to wszystko nie było tylko mi-
rażem, grą słońca pośród mgły opadłej na kamienice. Że nie była jednym z duchów katakumb skrywających pod ziemią miasto drugie [3], miasto bez słońca, ze studniami zapadającymi się w głąb brzucha ziemi, czerpnicami wody czystej, bezpiecznymi komnatami i spiżarniami jada; na czas katastrofy, najazdu hord i wściekłych psów. Potrzebowałam wspomnieć jeszcze raz zieleń, która przeniknęła do kości śródrecza, okalających je ścięgien, mięśni i skóry. Będę sobie przypominać jej twarz, za każdym razem jak spojrzę na dłonie. Będę płakać i ocierać łzy; będę tracić oddech na długie sekundy, zwijać się w kłębek w żalu i bezsilności. Dłonie przypomną mi, że nie była tylko moją imaginacją, liczbą nierze-
czywistą „i”, postępującą wybujałą wyobraźnią.

Rzeka płynęła co raz gwałtowniej, wzbierała rozbijając się o wysokie mury oporowe. Grzywacze wody galopowały coraz śmielej, szybciej i szybciej. Patrzyłam dookoła na przechodniów, ale nikt nie uciekał, nikt nie mówił: - patrz kurwa, jaka fala! Stałam. Nikt, oprócz mnie, nie widział nurtu sięgającego już moich kostek, kolan, wdzierającego się z bulgotem do okien Czardasza; nie słyszał krzyku ludzi, których

woda zastała nad stołem, brzęku talerzy, syku gaszonego ognia w restauracyjnej kuchni. Stałam. Woda sięgała mi już do klatki piersiowej, zaciskała żebra, które - jedno po drugim - powoli, systematycznie przebijały płuca. Ból był porażający, ale moje dłonie w kolorze zielonym wciąż trzymały się żelaznej bariery, a buty, jak przyspawane, przywarły do kamienia. Stałam. Kiedy woda sięgnęła szyi, przyszło mi do głowy, że może jednak pora spróbować się ratować, w miejsce statycznego czekania na śmierć. Śmierć w walce jest zawsze bardziej akceptowalna, niż śmierć pogodzona, statyczna. Spróbowałam się ruszyć. Nic. Drugi raz. Bez skutku. Zaczęłam szarpać z całych sił, ale naprzeciw wodzie byłam, jak zamurowana. Nic już się nie mogło wydarzyć, nic poza szansą, ostatnią szansą nabrania powietrza do przestrzeni wypełnianych powoli krwią i czekania, aż pęcherzyki płucne ostatkiem sił pochłoną drobinki tlenu, czerwone krwinki porwą je do serca, serce wypchnie je w tętnice i płuca będą gotowe do kolejnego skurczu, który tym razem niechybnie skończy się zassaniem brudnej wody. Przepona przesunie się ku górze, klatka piersiowa zapadnie się i sparaliżowana nie zapanuje już nad zawartością, która przy rozkurczu wedrze się do środka. Woda zaczęła się już przelewać nad moją głową. Szeptać:

– Chodź... Nie bój się... Chodź...

Jeden, jedyny haust dzielił mnie od niemego krzyku i spójnej, klarownej ciszy.

Coś delikatnie szarpało mnie w ramię. Do mojej świadomości zaczęło docierać kilkukrotnie stawiane pytanie:

– Proszę pani! Nic pani nie jest?

Starsza kobieta, wpatrywała się we mnie uważnie. Nie miałam pojęcia ile czasu tak stałam, ile czasu mnie obserwowała. Nie wiem ile czasu wstrzymywałam oddech, widocznie jednak wystarczająco, by wywołać omamy.

– Nic pani nie jest? – spytała raz jeszcze tym razem już spokojnie, troskliwym głosem.

– Nic. Chyba nie. Już nie. Trochę mi się zakręciło w głowie... i...

– Jest pani pewna?

– Tak, już powinno być lepiej.

– Może zadzwonić po kogoś?

– To bardzo miłe, ale nie, nie chcę nikogo martwić. To chyba żołądek, nie miałam czasu rano zjeść.

– A skoro tak - starsza Pani zajrzała do torebki i wyjęła małą paczuszkę herbatników. Podała mi ją mówiąc – Noszę ją zawsze na wszelki wypadek, gdyby mi cukier zwariował.

– Nie wiem czy mogę...

– Dziecko, – nagle zwróciła się do mnie czule, – mieszkam niedaleko, wyszłam tylko na spacer. Nic mi nie będzie.

Uśmiechnęłam się.

– W takim razie, dziękuję.

– Proszę nie dziękować, tylko zadbać o siebie – uśmiechnęła się, okręciła na pięcie i żwawo pomaszerowała w stronę rynku.

I gdy tak maszerowała krok za krokiem, spod jej płaszcza, nieśmiało, lotka po lotce wyzwoliły się wielkie, lśniące bielą skrzydła.

– Anioły nie istnieją, – rzuciłam bezwiednie, – i ugryzłam się w język.

Paczka herbatników paliła w dłoń.

Zamknęłam oczy. Miałam nadzieję, że ciastka znikną i wraz z nimi wszystkie urojenia. Zniknął jedynie skrzydlaty anioł za rogiem budynku. Zaszeleściłam opakowaniem. Po chwili pierwsze uczucie słodczy z rozplywającej się kruchości dotarło z kubków smakowych do jądra samotnego; samotnego jak ja na moście, zwodzona przez neurony i wrzucana w miraże; słodkie i omamy – jednak gnieźdzą się w korze mózgowej. Ciastka skruszyły się jedno po drugim, chrupane powoli, kęs za kęsem. Okazało się, że lepiej tłumią emocje niż zimno hutniczej stali.

Odetchnęłam, udało mi się obronić bez draśnięcia, drzazgi pozostawiając tam, gdzie je włożyłam przed wyjściem z domu. Spojrzałam na zegarek. Od piętnastej wskazówka zdążyła już zrobić pełen obrót. To byłby dobry tytuł na książkę; Godzinę na moście. Spostrzegłam kątem oka, że kilkoro przechodniów przygląda mi się bacznie, wykonałam więc ostatni w lewo zwrot i ruszyłam w stronę domu. Przez hałasy w mojej głowie powoli przebijała się wizja mocnej kawy; intensywnej, czarnej cieczy, którą zacznę pić za jakieś pół godziny, okręcona kocem, wciśnięta w kąt ławy pod wiatą na ogrodzie. Nie mogę mieć tyle emocji na raz. Elfy, anioły, grzywacze rzeczne...

Ze słuchawek zaczęła pobrzmiwać żelazna piosenka, tarcza broniąca mnie przed odchodzeniem od zmysłów, będąca nim, odchodzeniem w całość swojej prostocie i złożoności:

– Jestem sobie prawdą, fałszem i zagadką też... jestem... szatanem jestem sobie, aniołem z aureolą, wrogiem i kochanką, aktorem z ulubioną rolą...[4]

Zaczęłam biec, byle jak najszybciej przekroczyć Rubikon na Grunwaldzkiej, koślawą kostkę na Walecznych i ostatecznie znaleźć się w domu.

[1] ad futuram rei memoriam - na przyszłą rzeczy pamiątkę

[2] W 1997 roku Ziemię Kłodzką nawiedziła powódź stulecia, w wyniku której rzeka Nysa Kłodzka wyszła z koryta zalewając między innymi zabytkową dzielnicę Kłodzka, zwaną Wyspą Piasek. Po powodzi część budynków zburzono, a część do dziś nie została wyremontowana. Restauracja Czardasz była na pierwszej linii pędu wody, która poszła prosto niepomna zakrętu. Stalowy most natomiast, mimo za-

wisłych na nim drzew, przyczep kempingowych i etc blokad przetrwał powódź i wyremontowany cieszy oko do dziś.

[3] Pod Kłodzkiem znajduje się rozległa sieć podziemi, w których mieszkańcy chronili się w razie zagrożenia. Tunele stanowiły coś w rodzaju podziemnego miasta.

[4] Fragment tekstu piosenki: Kim jestem, jestem sobie, zespołu Dżem

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

coca_monka, dodano 21.12.2020 08:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.